

JACK REACHER

**LEE
CHILD**

JEDNYM STRZAŁEM

Jedyny warty zapamiętania twardziel współczesnej sensacji.

Jeffery Deaver



ALBATROS

Tytuł oryginału:
ONE SHOT

Copyright © Lee Child 2005
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 2006

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcia na okładce: © Alamy/BE&W (tło), Johnny Ring Photography (postać)

Projekt graficzny okładki: Stephen Mulcahey

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odnaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznanym

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Piątek. Piąta po południu. Chyba najgorsza pora na to, aby nie rzucając się w oczy, przejechać przez miasto. A może najlepsza. Ponieważ o piątej po południu piątek nikt na nic nie zwraca uwagi. Tylko na drogę przed sobą.

Człowiek z karabinem jechał na północ. Nie za szybko, nie za wolno. Nie zwracając na siebie uwagi. Nie wyróżniając się niczym. Jechał jasnym minivanem, który pamiętał lepsze czasy. Był sam. Nosił jasny prochowiec i jeden z tych bezkształtnych jasnych kapelusików, jakie starsi panowie noszą na polach golfowych, kiedy praży słońce lub pada deszcz. Kapelusik miał dwukolorowy otok. Był nasunięty na oczy. Płaszcz był zapięty pod szyję. Mężczyzna nosił okulary przeciwsłoneczne, chociaż samochód miał przyciemnione szyby, a dzień był pochmurny. I nosił rękawiczki, chociaż zima skończyła się już przed trzema miesiącami, a dzień wcale nie był chłodny.

W miejscu, gdzie First Street zaczynała piąć się na wzgórze, pojazdy poruszały się w ślimaczym tempie. Potem zupełnie się zatrzymały, tam gdzie dwa pasy przechodziły w jeden, ponieważ z drugiego robotnicy zerwali asfalt. Całe miasto było rozkopane. Już od roku jazda przez nie była koszmarem. Dziury w nawierzchni, wywrotki ze żwirem, betoniarki, maszyny do wylewania asfaltu. Człowiek z karabinem zdjął rękę z kierownicy. Podciągnął mankiet. Spojrzał na zegarek.

Jedenaście minut.

Bądź cierpliwy.

Zdjął nogę z hamulca i samochód wolno ruszył naprzód. Potem znów się zatrzymał, tam gdzie zaczynało się śródmiejskie centrum handlowe i ulica stawała się węższa, a chodniki szersze. Z lewej i prawej wznosiły się supermarkety, każdy następny nieco wyżej od poprzedniego z powodu nachylenia stoku. Szerokie chodniki zapewniały dużo miejsca spacerującym klientom. Żeliwne maszty flagowe i żeliwne słupy latarni stały w długim szeregu niczym wartownicy między ludźmi a samochodami. Ludzie mieli tu więcej miejsca niż samochody. Te poruszały się bardzo wolno. Znowu spojrzał na zegarek.

Osiem minut.

Bądź cierpliwy.

Sto metrów dalej było trochę mniej sklepów. Robiło się luźniej. First Street stawała się nieco szersza i znów trochę zaniedbana. Pojawiały się bary i tanie sklepiki. Po lewej znajdował się wielopoziomowy parking. Kolejne roboty drogowe prowadzono w miejscu, gdzie rozbudowywano parking. Jeszcze dalej ulicę zamykał niski mur. Za nim ciągnął się rozległy plac z rzeźbioną fontanną. Po lewej stronie placu stała stara biblioteka miejska, po prawej nowy biurowiec, za nim wieżowiec z czarnego szkła. First Street gwałtownie skręcała w prawo przed murem odgradzającym plac i biegła dalej na zachód, obok zaśmieconych tylnych wejść i wjazdów dostawczych, a potem pod estakadą autostrady stanowej.

Jednak człowiek w minivanie zwolnił, nie dojeżdżając do zakrętu przed placem, a potem skręcił w lewo i zjechał na parking. Pojechał na górę. Przy wjeździe nie było szlabanu, ponieważ każde miejsce miało swój parkometr. Tak więc nie było tu kasjera, żadnego świadka, biletu, papierowego śladu. Mężczyzna w minivanie dobrze o tym wiedział. Wjechał na drugi poziom i skierował wóz na sam koniec hali. Na moment zostawił silnik na jałowym biegu, wysiadł z samochodu i zabrał styropianowy pomarańczowy słupek z miejsca, na którym zamierzał zaparkować. Znajdowało się na samym końcu starego parkingu, tuż przy dobudowywanej części.

Zaparkował samochód i wyłączył silnik. Przez moment siedział nieruchomo. Wokół panowała cisza. Parking był zapcha-

ny samochodami. Miejsce, które zabezpieczył styropianowym słupkiem, było ostatnim wolnym stanowiskiem. Ten parking zawsze był zatłoczony. Mężczyzna o tym wiedział. Dlatego rozbudowywali budynek. Podwajali jego pojemność. Korzystali z niego głównie klienci sklepów. Dlatego było tu tak cicho. Nikt zdrowy na umyśle nie próbowałby stąd wyjechać o piątej po południu. Nie w godzinie szczytu. Nie przy tych robotach drogowych. Ludzie albo odjechali przed czwartą, albo czekali do szóstej.

Mężczyzna w minivanie sprawdził czas.

Cztery minuty.

Spokojnie.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i wysiadł. Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i włożył do parkometru. Mocno przekręcił rączkę, usłyszał brzęk wpadającej monety i zobaczył, jak zegar dał mu za nią godzinę. Nie słyhać było żadnego innego dźwięku. W powietrzu unosił się tylko zapach zaparkowanych pojazdów: benzyny, gumy, spalin.

Stanął nieruchomo obok samochodu. Na nogach miał stare pustynne buty z zamszu koloru khaki, sznurowane, z białymi miękkimi podeszwami – ulubione obuwie żołnierzy sił specjalnych. Standardowy model, niezmieniany chyba od sześćdziesięciu lat.

Obejrzał się na parkometr. Pięćdziesiąt dziewięć minut. Nie będzie potrzebował pięćdziesięciu dziewięciu minut. Otworzył przesuwane tylne drzwi minivana, pochylił się, odwinął koc i wyjął karabin. Był to samopowtarzalny springfield M1A super match z kolbą z amerykańskiego orzecha, długą lufą i magazynkiem na dziesięć pocisków kalibru .308. Cywilny odpowiednik snajperskiego karabinu M14, używanego przez amerykańską armię w tym czasie, kiedy przed laty służył w wojsku. Była to dobra broń. Może niezapewniająca tak dokładnego pierwszego strzału jak najlepsze karabiny z zamkiem ryglowym, ale wystarczająca. Zupełnie wystarczająca. Nie zamierzał strzelać z bardzo dużej odległości. I była załadowana pociskami Lake City M852. Jego ulubionymi, robionymi na zamówienie. Łuski Lake City Match, proch Federal i pociski

BT o masie 168 granów, z wklęsłymi czubkami. Pociski były chyba lepsze niż broń. Lekkie przegięcie.

Nasłuchiwał w milczeniu, po czym podniósł karabin z tylnego siedzenia. Zabral go ze sobą tam, gdzie kończyła się stara i zaczynała nowa część budynku. Między starą a nową betonową płytą biegł półtoracentymetrowy rowek. Jak linia demarkacyjna. Domyślił się, że to szczelina dylatacyjna. Ze względu na letnie upały. Przypuszczalnie wypełnią ją smołą. Nad rowkiem między dwoma filarami rozpięto żółto-czarną taśmę z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Przykleknął na kolano i prześlizgnął się pod nią. Wyprostował się i wszedł na teren budowy. Część nowej betonowej posadzki była już gładka, a część chropowata – wciąż czekała na ostatnią warstwę. Tu i ówdzie rozłożono pomosty z drewnianych desek. Wszędzie leżały sterty papierowych worków po cemente, pełnych i pustych. Dostrzegł kolejne szczeliny dylatacyjne. I rzędy wyłączonych żarówek. Puste taczki, pogniecione pojemniki, szpule kabli, walające się drewniane krawędziaki, sterty gruzu, milczące betoniarki. Wszędzie był szary cementowy pył, drobnutki jak talk, oraz zapach wapna.

Mężczyzna z karabinem szedł przez mrok, aż dotarł do nowego północno-wschodniego rogu budynku. Tam przystanął, mocno oparł się plecami o szorstki betonowy filar i znieruchomiał. Z głową obróconą w prawo powoli się przesunął, tak aby dobrze widzieć otoczenie. Znajdował się około trzech metrów od nowej balustrady parkingu. Północna ściana. Sięgająca mu prawie do pasa. Niedokończona. Powstrzeliwano w nią kołki, na których później zostanie zamocowana metalowa bariera, zapobiegająca ocieraniu się samochodów o beton. W posadzce zamontowano uchwyty na nowe parkometry.

Mężczyzna z karabinem powoli przesunął się naprzód i obrócił, aż poczuł między łopatkami twardą krawędź filara. Znow obrócił głowę. Teraz spoglądał na północ i wschód. Prosto na plac. Fontanna była teraz wąskim prostokątem, zwróconym do niego krótszymi bokami. Miała chyba trzydzieści na osiem metrów. Wyglądała jak duży pojemnik na wodę, duży brodzik. Otaczał ją ceglany murek wysokości półtora metra.

Woda omywała jego wewnętrzne ściany. Lewy przedni i prawy tylny narożnik murku znajdowały się niemal dokładnie na linii jego widzenia, biegnącej po przekątnej fontanny. Woda miała nieco ponad metr głębokości. Fontanna tryskała na samym środku basenu. Słyszał jej plusk, tak samo jak jadące ulicą pojazdy i stukot kroków na ulicy. Frontowa ściana fontanny znajdowała się jakiś metr za murem odgradzającym plac od First Street. Oba murki biegły blisko siebie, równoległe przez jakieś osiem metrów, ze wschodu na zachód, oddzielone jedynie wąskim chodnikiem.

Mężczyzna znajdował się na pierwszym piętrze parkingu, lecz ponieważ First Street biegła w górę, plac znajdował się znacznie niżej niż jedno piętro pod nim. Wprawdzie patrzył na niego pod kątem, ale niezbyt ostrym. Po prawej stronie placu widział wejście do nowego biurowca. Ten wyglądał tandetnie. Postawiono go i nie znaleziono najemców. Mężczyzna wiedział o tym. Aby nobilitować to nowe centrum, władze stanowe umieściły w biurowcu różne urzędy. Był tutaj wydział komunikacji oraz połączone biuro werbunkowe wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki. Może wydział opieki społecznej. Być może i izba skarbowa. Mężczyzna z karabinem nie był tego pewien. I nic go to nie obchodziło.

Uklęknął, a potem położył się na brzuchu. Czołganie to podstawowy sposób poruszania się snajpera. Podczas swojej służby w wojsku pokonał w ten sposób chyba z milion kilometrów. Na kolanach, łokciach i brzuchu. Standardowa metoda działania snajpera i jego pomocnika nakazywała oddalić się tysiąc metrów od oddziału i podczołgać na pozycję. Na ćwiczeniach czasem mijało kilka godzin, zanim zdołał to zrobić, niezauważony przez obserwatora z lornetką. Teraz jednak miał do pokonania zaledwie trzy metry. I z tego, co wiedział, nikt nie obserwował go przez lornetkę.

Dotarł do podnóża murku i wyciągnął się na podłodze, przywierając do szorstkiego betonu. Potem powoli usiadł. Później uklęknął. Podwinął prawą nogę. Lewą stopę postawił zupełnie płasko, lewa łydka tworzyła z nią kąt prosty. Oparł lewy łokieć o kolano lewej nogi. Podniósł karabin. Umieścił koniec łoża

na krawędzi betonowego murku. Ostrożnie poruszył bronią tam i z powrotem, aż poczuł, że dobrze i pewnie leży mu w rękach. „Przyklęk z podparciem” – tak nazywała się ta pozycja w podręczniku. Dobra pozycja. Jego zdaniem ustępująca tylko pozycji leżącej z karabinem opartym na dwójnogu. Zrobił kontrolowany wdech i wydech. „Jeden strzał, jeden trup”. Dewiza strzelca wyborowego. Sukces wymaga samokontroli, spokoju i zimnej krwi. Zrobił wdech i wydech. Odprężył się. Poczul, że zbliża się do celu.

Gotowy.

Infiltracja udana.

Teraz zaczekaj na odpowiedni moment.

Czekał mniej więcej siedem minut, nie poruszając się, odychając miarowo i koncentrując się. Spojrzał na bibliotekę po lewej. Nad nią i za nią łuk estakady wznosił się na swoich przęsłach, jakby opiekuńczo obejmował ten stary budynek z wapienia. Potem trochę się prostował i przechodził za wieżowcem z czarnego szkła, niemal na wysokości trzeciego piętra. Na postumencie przed głównym wejściem do wieżowca stał paw będący symbolem NBC, ale mężczyzna z karabinem był pewien, że filia tej sieci telewizyjnej nie zajmowała całego budynku. Zapewne nawet nie zajmowała całego piętra. Pozostałe pomieszczenia były wynajmowane przez jednoosobowe firmy prawnicze, dyplomowanych księgowych, przedstawicieli biur obrotu nieruchomościami, agentów ubezpieczeniowych lub doradców inwestycyjnych. Albo stały puste.

Ludzie wychodzili z nowego budynku po prawej. Jedni przyszedli tu po nowe tablice rejestracyjne, inni oddać stare lub dołączyć do armii walczących ze stanową biurokracją. Było tam mnóstwo ludzi. Zbliżała się pora zamknięcia urzędów. Piąta godzina, piątkowe popołudnie. Ludzie wychodzili z budynku i skręcali w prawo lub w lewo, przechodząc przed nim gęsiego po wąskim chodniku, mijając krótszy bok fontanny. Jak kaczki na strzelnicy. Jeden po drugim. Wiele dobrych celów. W bliskiej odległości. Z pewnością mniejszej niż trzydzieści pięć metrów. Bardzo bliskiej.

Czekał.

Niektórzy ludzie, przechodząc, zanurzali palce w wodzie. Murek fontanny miał akurat taką wysokość, że mogli to robić. Człowiek z karabinem widział jasne plamki miedziaków na czarnych kafelkach dna. Poruszały się i falowały tam, gdzie woda tryskająca z fontanny marszczyła powierzchnię.

Obserwował. Czekał.

Ludzki potok zmienił się w rzekę. Teraz z budynku wychodziło tylu ludzi naraz, że musieli stać w grupie i cierpliwie czekać na swoją kolej, żeby przejść gęsiego między dwoma murkami. Ruch uliczny na First Street w dole również zamarł. Korek. Pan pierwszy. Nie, to pan pierwszy. To jeszcze bardziej spowalniało tempo. Teraz ludzie rzeczywiście przypominali kaczki na strzelnicy.

Człowiek z karabinem zrobił kontrolowany wdech i wydech, czekając.

Potem przestał czekać.

Nacisnął spust, kilkakrotnie, raz za razem.

Pierwsza kula trafiła w głowę mężczyzny, zabijając go na miejscu. Huknął strzał, któremu towarzyszył trzask powietrza, rozdzieranego przez lecący z naddźwiękową prędkością pocisk, głowę ofiary spowiła różowa mgielka i facet padł jak marionetka, której przecięto sznurki.

Zabity pierwszym strzałem.

Doskonale.

Strzelał szybko, od lewej do prawej. Drugi pocisk posłał w głowę następnego mężczyzny. Dokładnie z takim samym rezultatem. Trzeci w głowę kobiety. Ten sam rezultat. Trzy strzały zaledwie w dwie sekundy. Trzy trafienia. Całkowite zaskoczenie. Przez ułamek sekundy żadnej reakcji. Potem wybuchło zamieszanie. Istne pandemonium. Panika. W wąskiej przestrzeni między murkiem ogradzającym plac a fontanną znajdowało się dwanaście osób. Trzy już nie żyły. Pozostałe dziewięć rzuciło się do ucieczki. Czwooro pobiegło naprzód, a pięcioro odwróciło się plecami do zabitych i zaczęło uciekać z powrotem. Ta piątka wpadła na zbity tłum wciąż idący w ich kierunku. Rozległy się przeraźliwe krzyki. Człowiek z karabinem miał przed sobą skłębioną grupę przerażonych ludzi. W

odległości niecałych trzydziestu pięciu metrów. Bardzo blisko.

Czwarty strzał zabił mężczyznę w garniturze. Piąty chybił. Pocisk Sierra Matchking przeszedł tuż nad ramieniem jakiejś kobiety, z sykiem wpadł do fontanny i znikł. Strzelec zignorował to, przesunął odrobinę lufę springfielda i szóstym strzałem trafił jakiegoś mężczyznę w nasadę nosa, roztrzaskując czaszkę.

Człowiek z karabinem przestał strzelać.

Schował się za murek i rakiem odczołgał się jakiś metr w głąb parkingu. Czuł woń spalonego prochu, a przez dzwoniennie w uszach słyszał krzyki kobiet, tupot nóg i trzask zderzaków na ulicy poniżej. Bez obawy, ludziki, pomyślał. Już po wszystkim. Już mnie tu nie ma. Wyciągnął się na brzuchu i zgarnął łuski na kupkę. Mosiądz jasno błyszczał tuż przed jego nosem. Zgarnął pięć łusek w okryte rękawicami dłonie, ale szósta potoczyła się i wleciała w szczelinę dylatacyjną. Wpadła do tego płytkiego rowka długości trzydziestu centymetrów i szerokości półtora. Usłyszał cichy brzęk, gdy uderzyła o dno.

Jaka decyzja?

Zostawić ją, oczywiście.

Nie ma czasu.

Wepchnął pięć pozostałych łusek do kieszeni prochowca, po czym odczołgał się na palcach rąk i nóg, i na brzuchu. Przez moment leżał nieruchomo, słuchając wrzasków. Potem podniósł się na klęczki i wstał. Odwrócił się i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, szybko, lecz spokojnie, po szorstkim betonie, po drewnianych pomostach, przez mrok i kurz, pod żółto-czarną taśmą. Z powrotem do swojego minivana.

Tylne drzwi wciąż były otwarte. Znów zawinął karabin w koc, położył go z tyłu i zasunął drzwi. Usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Zerknął przez przednią szybę na parkometr. Zostały mu czterdzieści cztery minuty. Wyjechał tyłem i skierował się do wyjazdu. Zjechał po rampie do niepilnowanej bramy, a potem dwukrotnie skręcił w prawo, w płataninę uliczek na tyłach supermarketów. Przejechał pod wiaduktem, zanim usłyszał pierwsze syreny. Odetchnął. Radiowozy jechały na wschód, a on na zachód.

Dobra robota, pomyślał. Skuteczna infiltracja, sześć od-
danych strzałów, pięć celnych, udany odwrót, gładko jak po
maśle.

Nagle uśmiechnął się. Wojskowe statystyki od dawna wy-
kazują, że na polu bitwy jeden zabity nieprzyjaciel przypa-
da na piętnaście tysięcy naboju wystrzelonych przez piechotę.
Jednak dobrze wyszkoleni strzelcy wyborowi osiągają lepsze
wyniki. O wiele lepsze. Ściśle mówiąc, dwanaście i pół tysiąca
razy lepsze. We współczesnej armii jeden zabity wróg przypa-
da na jeden i dwie dziesiąte pocisku wystrzelonego przez snaj-
pera. A jeden przecinek dwa to dokładnie pięć celnych strza-
łów na sześć. Dokładnie taka sama średnia. Prosta arytmetyka.
Tak więc nawet po tylu latach wojskowy strzelec wyborowy
uzyskał taki wynik, jakiego oczekiwaliby jego instruktorzy.
Byliby bardzo zadowoleni.

• • •

Jednak jego dawni instruktorzy przygotowywali strzelców
wyborowych do działań na polu bitwy, a nie do popełniania
przestępstw. W przypadku tych ostatnich dochodzą do głosu
czynniki nieistniejące na polu bitwy. Te czynniki zmieniają
definicję udanego odwrotu. W tym konkretnym wypadku naj-
szybciej zareagowały media. I nic dziwnego, skoro doszło do
strzelaniny pod oknem filii NBC. Zanim tuzin prerażonych
świadków niemal jednocześnie zadzwonił ze swoich telefo-
nów komórkowych pod 911, wydarzyły się dwie rzeczy. Po
pierwsze, zaczęły nagrywać wszystkie minikamery w biurze
NBC. Personel chwycił je, włączył i wycelował w okna. Po
drugie, miejscowa reporterka, niejaka Ann Yanni, zaczęła
układać słowa komunikatu, w pełni świadoma tego, że będzie
to jej pierwszy naprawdę wystrzałowy reportaż. Była wstrzą-
śnięta i przestraszona, ale potrafiła dostrzec i wykorzystać
nadarzającą się okazję. Tak więc zaczęła układać w myślach
komunikat. Wiedziała, że najważniejszy jest dobór odpowied-
nich słów, a do głowy przychodziły jej: „snajper”, „bezsens-
owny” i „mord”. Aliteracja była czysto instynktowna. Tak
jak banalność tych określeń. Jednak „mord” to jedyne słowo,

jakie wydawało jej się odpowiednie. Ponadto „mord” było doskonałym słowem. W pełni oddawało przypadkowość, bezmyślność, okropność i dzikość tego czynu. Beznamiętność i bezosobowość. Było idealnym słowem do tego reportażu. Jednocześnie wiedziała, że nie nadaje się na podpis pod zdjęciami. Znacznie lepsze będzie „masakra”. „Masakra w piątkowy wieczór”? „Masakra w godzinie szczytu”? Pobieгла do drzwi, mając nadzieję, że facet od grafiki dobierze materiał pasujący do jednego z tych tytułów.

• • •

Ponadto na polu bitwy nie ma stróżów prawa. Tuzin jednoczesnych telefonów pod numer 911 sprawił, że konsola dyspozytora rozjarzyła się światłkami jak bożonarodzeniowa choinka i po czterdziestu sekundach miejscowa policja oraz straż pożarna już były w drodze. Wysłano wszystkie wozy, z włączonymi migaczami i syrenami. Wszystkie radiowozy, wszystkich będących na służbie detektywów, techników kryminalistyki, ratowników medycznych, każdy wóz straży pożarnej i ambulans. W rezultacie na początku panował kompletny bałagan. Dzwoniący pod 911 byli przestraszeni i roztrzęsieni. Jednak najwyraźniej doszło do poważnego przestępstwa, tak więc tymczasowe dowodzenie objął szef wydziału ciężkich przestępstw. Był nim wysoko wykwalifikowany, doświadczony policjant, który dosłużył się tego stanowiska, przechodząc wszystkie szczeble policyjnej hierarchii, od zwykłego posterunkowego. Nazywał się Emerson. Przedzierał się przez korki, omijając rozkopane ulice, nie mając pojęcia, co naprawdę się stało. Napad na bank, porachunki dealerów, wojna gangów, atak terrorystyczny – nie miał żadnych konkretnych informacji. Żadnych. Mimo to był stosunkowo opanowany. Jego tętno nie przekraczało stu pięćdziesięciu. Jadąc, utrzymywał stałą łączność z dyspozytorem, rozpaczliwie czekając na kolejne informacje.

- Dzwoni następny facet! – krzyknął dyspozytor.
- Kto? – odkrzyknął Emerson.
- Komandos z biura werbunkowego.

– Był świadkiem?

– Nie, znajdował się w środku. Jednak teraz jest na zewnątrz.

Emerson zacisnął zęby. Wiedział, że nie będzie pierwszy na miejscu zbrodni. Nawet nie w pierwszej dekadzie. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi dowodzić z tyłu. Tak więc potrzebował dobrych oczu. Natychmiast. Komandos? Ten się nada.

– W porządku – rzekł. – Połącz mnie z nim.

Usłyszał elektroniczne piski i trzaski, a potem nowe dźwięki. Uliczny hałas, odległe krzyki, plusk wody. Fontanna, pomyślał.

– Kto mówi? – zapytał.

Odpowiedział mu męski głos, opanowany, lecz głośny i zdyszany. Najwyraźniej mówiący trzymał słuchawkę blisko ust.

– Tu Kelly – powiedział mężczyzna. – Sierżant sztabowy piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych. Z kim rozmawiam?

– Emerson, policja. Utknąłem w korku jakieś dziesięć minut od was. Co tam mamy?

– Pięć ofiar – powiedział komandos.

– Pięciu zabitych?

– Zgadza się.

O kurwa.

– Ranni?

– Żadnego nie widzę.

– Pięciu zabitych i żadnego rannego?

– Zgadza się – powtórzył komandos.

Emerson nic nie powiedział. Widywał już strzelaniny w środku miasta. Widywał zabitych. Jednak nigdy nie widział wyłącznie zabitych. Po strzelaninach w mieście zawsze byli zabici i ranni. Zazwyczaj w identycznych proporcjach.

– Jest pan pewien, że nie ma rannych? – zapytał.

– Całkowicie – odparł komandos.

– Kim są ofiary?

– Cywile. Czterech mężczyzn, jedna kobieta.

– Kurwa.

– Potwierdzam – powiedział komandos.

– Gdzie pan był?
– W biurze werbunkowym.
– Co pan widział?
– Nic.
– A co pan słyszał?
– Strzały. Sześć strzałów.
– Z broni ręcznej?
– Raczej długiej. Tak mi się zdaje.
– Z karabinu?
– Chyba samopowtarzalnego. Strzelano szybko, ale nie serią. Wszystkie ofiary zostały trafione w głowę.

Snajper, pomyślał Emerson. Kurwa mać. Szaleniec z bronią szturmową.

– Strzelec uciekł? – zapytał.
– Już nie strzela.
– Może nadal tam być.
– To możliwe. Ludzie się pochowali, większość w bibliotece.

– A pan gdzie jest?
– Za murkiem otaczającym plac. Ze mną jest jeszcze kilka osób.

– Skąd strzelał?
– Nie jestem pewien. Może z piętrowego parkingu. Z jego nowej części. Ludzie wskazywali w tym kierunku. Może dostrzegli błyski strzałów. Ponadto to jedyny duży budynek znajdujący się dokładnie naprzeciw naszego.

Istny labirynt, pomyślał Emerson. Cholerne szczurze gniazdo.

– Jest tu telewizja – powiedział komandos.
O kurwa, pomyślał Emerson.
– Jest pan w mundurze? – spytał.
– Galowym. Jak to w biurze werbunkowym.
– W porządku, niech pan stara się utrzymać porządek, dopóki nie dotrą tam moi chłopcy.
– Przyjąłem.

Rozmówca wyłączył się i Emerson znów usłyszał sapanie dyspozytora. Telewizja i szaleniec z karabinem, pomyślał.

A niech to szlag! Presja, patrzanie na ręce i jałowe domysły, jak wszędzie gdzie znajdzie się telewizja i szalenciec z bronią. Wcisnął klawisz i uzyskał połączenie ze wszystkimi policyjnymi wozami.

– Uwaga wszystkie radiowozy – powiedział. – Mamy szalencia z karabinem. Prawdopodobnie broń półautomatyczna. Oddał kilka strzałów w miejscu publicznym. Zapewne z nowej części piętrowego parkingu. Tak więc albo nadal tam jest, albo zwał. Jeżeli uciekł, to pieszo lub jakimś pojazdem. Wszystkie radiowozy oddalone o więcej niż dziesięć przecznic od miejsca wydarzeń mają natychmiast stanąć i zablokować ulice. Nikogo nie wpuszczać i nie przepuszczać, jasne? Żadnych pojazdów, przechodniów, absolutnie nikogo. Wszystkie radiowozy w promieniu dziesięciu przecznic jadą na miejsce wydarzeń, zachowując najwyższą ostrożność. Nie pozwólcie mu uciec. Nie przegapcie go. Musimy go dorwać, chłopcy. Musimy złapać go dziś, zanim CNN dobierze nam się do skóry.

• • •

Mężczyzna w minivanie nacisnął kciukiem przycisk pilota na konsoli i drzwi garażu podniosły się z rumorem. Wjechał do środka, ponownie nacisnął przycisk i drzwi się zamknęły. Zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. Potem wysiadł, przeszedł przez sień i do kuchni. Poklepał psa i włączył telewizor.

• • •

Ratownicy w kamizelkach kuloodpornych weszli tylnymi drzwiami do biblioteki. Dwaj zostali w środku, aby sprawdzić, czy nie ma rannych wśród kryjących się tam ludzi. Czterej wypadli przez drzwi frontowe, nisko pochyleni przebiegli przez plac i schowali się za murkiem. Podczołgali się do ofiar i potwierdzili, że wszystkie nie żyją. Potem pozostali przy ciałach. Leżeli w bezruchu. „Nie narażać się niepotrzebnie, dopóki nie przeszukamy parkingu”, powiedział Emerson.

• • •

Emerson zaparkował nieprzepisowo dwie przecznice od placu i kazał umundurowanemu sierżantowi policji pokierować akcją przeszukania parkingu, od góry po sam dół, poczynając od południowo-zachodniego narożnika. Mundurowi sprawdzili najpierw trzecie, później drugie piętro. Potem pierwsze. I parter. Starą część budynku niełatwo było sprawdzić. Była kiepsko oświetlona i pełna zaparkowanych samochodów, a każdy z nich mógł stanowić potencjalną kryjówkę. Facet mógł schować się w jednym z nich, pod nim lub za nim. Jednak nikogo nie znaleźli. Nowa część budynku nie sprawiała takich kłopotów. Nie była oświetlona, ale nie stały w niej żadne samochody. Policjanci po prostu zeszli po schodach, kolejno oświetlając latarkami każde piętro.

Nikogo.

Sierżant odprężył się i złożył meldunek przez radio.

– Dobra robota – powiedział Emerson.

I rzeczywiście tak było. Ponieważ poszukiwania prowadzono od południowo-zachodniego narożnika, północno-wschodni pozostał nietknięty. Niczego tam nie ruszono. Tak więc dzięki szczęściu lub dobrej ocenie sytuacji policja spisała się bez zarzutu w pierwszej fazie tego, co później uznano za dochodzenie poprowadzone nienagannie od początku do końca.

• • •

O siódmej zaczęło już zmierzchać i Ann Yanni jedenaście razy weszła na antenę. Trzy razy dla sieci, osiem razy lokalnie. Osobiście była trochę rozczarowana tym wynikiem. Wyczuwała lekki sceptycyzm naczelnej redakcji sieci. „Krew najlepiej się sprzedaje” – to dewiza wszystkich mediów, lecz krew przelano daleko od Nowego Jorku i Los Angeles. Nie na jakimś wypielegnowanym przedmieściu czy w Waszyngtonie. Tak więc sprawa miała zbyt prowincjonalny charakter. Mało prawdopodobne, żeby ktoś naprawdę ważny znalazł się na celowniku snajpera. Dlatego nie był to pierwszorzędny materiał. A ponadto tak naprawdę Ann nie miała nic konkretnego. Jeszcze nie zidentyfikowano żadnej z ofiar. Miejscowa policja nie chciała niczego ujawniać do czasu powiadomienia rodzin. Tak

więc Ann nie miała żadnych wzruszających opowieści, którymi mogłaby podzielić się z widzami. Nawet nie wiedziała, czy zastrzeleni mężczyźni byli ojcami rodzin. Czy chodzili do kościoła? Czy zastrzelona kobieta była matką i żoną? Ann nie miała też wiele do pokazania. Jedyne tłum powstrzymywany pięć przecznic dalej przez policję, statyczne ujęcie ciemnej First Street oraz sporadyczne zbliżenia piętrowego parkingu, z którego – jak powszechnie uważano – strzelał snajper.

• • •

Do ósmej Emerson poczynił znaczne postępy. Jego ludzie zebrali setki zeznań. Sierżant sztabowy piechoty morskiej, Kelly, był przekonany, że słyszał sześć strzałów. Emerson mu wierzył. W takich sprawach raczej można wierzyć piechocie morskiej. Później jakiś facet wspomniał, że przez cały czas miał włączoną komórkę, ponieważ właśnie był połączony z pocztą głosową. Operator telefonii komórkowej odnalazł nagranie, na którym słychać było sześć cichych, lecz wyraźnych wystrzałów. Tymczasem patolodzy doliczyli się tylko pięciu otworów wlotowych u pięciu ofiar strzelaniny. Tak więc brakowało jednej kuli. Trzej inni świadkowie zeznali, że widzieli rozbryzg wody w fontannie.

Emerson kazał opróżnić basen.

Zajęli się tym strażacy. Rozstawili reflektory, wyłączyli fontannę i zaczęli wypompowywać z niej wodę do studzienek burzowych. Wyliczyli, że trzeba będzie usunąć około osiemdziesięciu tysięcy galonów wody, co potrwa niecałą godzinę.

• • •

Tymczasem technicy kryminalistyki za pomocą słomek do drinków i wskaźników laserowych wytyczyli trajektorie śmiertelnych pocisków. Uznali, że najbardziej wiarygodnego dowodu dostarczy pierwsza ofiara. Mężczyzna zapewne spokojnie siedł z prawej strony placu na lewą, kiedy padł pierwszy strzał. Później kolejne ofiary mogły obracać się, uskakiwać lub wykonywać różne inne nieprzewidziane ruchy. Technicy swoje wnioski oparli wyłącznie na dowodach dostar-

czonych przez pierwszego zabitego. Głowę miał roztrzaskaną, ale wydawało się oczywiste, że kula przeszła przez nią z góry do dołu i od lewej do prawej. Jeden technik stanął w miejscu, gdzie leżało ciało, a drugi przyłożył słomkę do jego głowy i przytrzymał ją pod odpowiednim kątem. Wtedy pierwszy odsunął się, a trzeci przepuścił przez słomkę promień wskaźnika laserowego. Małeńki czerwony punkt pojawił się na północno-wschodnim narożniku dobudowanej części parkingu, na pierwszym piętrze. Świadkowie twierdzili, że właśnie tam widzieli błyski wystrzałów. Teraz uzyskano naukowe potwierdzenie ich zeznań.

Emerson posłał na parking swoich ekspertów od kryminalistyki i powiedział im, że mają tyle czasu, ile potrzebują. Powiedział im też, żeby nie wracali z niczym.

• • •

Ann Yanni opuściła wieżowiec z czarnego szkła o ósmej trzydzieści i zabrała ekipę telewizyjną pięć przecznic dalej, gdzie ustawiono blokadę. Liczyła na to, że drogą eliminacji uda jej się zidentyfikować niektóre ofiary. Ludzie, których bliscy nie wrócili do domu na kolację, mogli tam przyjść, rozpaczliwie szukając informacji. Nakręciła dwudziestominutową relację. Nie zdobyła żadnych konkretnych informacji. Tylko dwadzieścia minut płaczu, zawodzeń i oszołomionego niedowierzania. Całe miasto było wstrząśnięte i zaskoczone. Zaczęła czuć dumę z tego, że jest w centrum tych wydarzeń, i w końcu jej także łzy stanęły w oczach.

• • •

Przełomowego odkrycia dokonano w budynku parkingu. To była prawdziwa bonanza. Złota żyła. Pewien posterunkowy trzy przecznice dalej spisał zeznanie stałego użytkownika parkingu, który powiedział, że ostatnie wolne miejsce na pierwszym piętrze było zagrodzone pomarańczowym styropianowym słupkiem. Z tego powodu świadek musiał opuścić parking i zostawić samochód gdzie indziej. Strasznie go to wkurzyło. Facet z ratusza powiedział, że to nie oni ustawili ten

słupek. W żadnym razie. Nie ma mowy. Nie mieli żadnego powodu. Słupek włożono więc do plastikowego worka i zabrano jako dowód. Facet z ratusza powiedział, że przy wjeździe i wyjeździe są umieszczone ukryte kamery, podłączone do magnetowidu w stalowej szafie. Taśmę wyjęto i zabrano. Potem poinformował, że zabrakło funduszy na rozbudowę parkingu i przez ostatnie dwa tygodnie nie prowadzono tam robót. Oznaczało to, że wszystko, co pozostawiono tam później, nie należało do jego ludzi.

Technicy kryminalistyki zaczęli od miejsca, gdzie była rozciągnięta żółto-czarna taśma z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Pierwszą rzeczą, którą znaleźli, było kilka niebieskich bawełnianych nitek na szorstkim betonie tuż pod nią. Zaledwie puszek słabo widocznych włókien. Jakby ktoś przykleknął tu, żeby przejść pod taśmą, i zostawił kawałeczek swoich niebieskich dżinsów. Sfotografowali te nitki, a potem zebrali je na kawałek przezroczystej taśmy klejącej. Później przynieśli lampy łukowe i oświetlili podłogę. Leżał na niej dwutygodniowy cementowy pył. Zobaczyli wyraźne ślady stóp. Naprawdę idealne. Kierownik ekipy wyjął komórkę i zadzwonił do Emersona.

- Facet nosił dziwne buty – powiedział.
- Jakie dziwne buty?
- Słyszał pan o kauczuku? To rodzaj gumy. Prawie surowej. Bardzo przyczepna. Wszystko się do niej lepi. Jeśli złapiemy tego gościa, to znajdziemy cementowy pył na podszwach jego butów. A w jego domu znajdziemy psa.
- Psa?
- Mamy tu psi włos, który wcześniej przyczepił się do kauczuku. I oderwał się w miejscu, gdzie beton jest bardzo chropowaty. Ponadto włókna z chodników. Zapewne z jego domu i samochodu.
- Szukajcie dalej – polecił Emerson.

• • •

Za dziesięć dni Emerson przekazał szefowi policji informacje przed konferencją prasową. Niczego nie ukrywał.

Szef miał zdecydować, co ujawnić, a co ukryć przed mediami.

– Oddano sześć strzałów i zginęło pięć osób – powiedział Emerson. – Wszystkie trafione w głowę. Stawiam na wyszkolonego snajpera. Prawdopodobnie byłego żołnierza.

– Albo myśliwego? – podsunął szef.

– Między strzelaniem do jeleni a do ludzi jest wielka różnica. Technika może jest ta sama, ale emocje nie.

– Mielіśmy prawo trzymać FBI z dala?

– To nie zamach terrorystyczny, tylko samotny świr. Nie raz mieliśmy z takimi do czynienia.

– Chciałbym z przekonaniem powiedzieć, że go dopadniemy.

– Wiem – rzekł Emerson.

– Jak bardzo mogę być przekonany?

– Dotychczas zebrane dowody są niezłe, ale niedecydujące.

Szef kiwnął głową i nic nie powiedział.

Dokładnie o dziewiątej Emerson odebrał telefon od patologa. Wykonano zdjęcia rentgenowskie wszystkich pięciu czaszek. Rozległe uszkodzenia tkanek, rany wlotowe i wylotowe, żadnych kul.

– Pociski z wklęstymi czubkami – orzekł patolog. – Wszystkie przeszły na wylot.

Emerson odwrócił się i spojrzał na zbiornik fontanny. Wystrzelił sześć kul, pomyślał. Pięć trafiło w cel, jedna chybiła. O dziewiątej piętnaście fontanna była opróżniona. Wężę strażaków zaczęły wsysać powietrze. Na dnie zbiornika pozostała prawie centymetrowa warstwa mułu i mnóstwo śmieci. Emerson kazał przestawić reflektory i posłał dwunastu rekrutów z Akademii Policijnej, żeby przeszukali fontannę – sześciu z jednej strony i sześciu z drugiej.

• • •

Kryminaliści znaleźli w budynku czterdzieści osiem śladów stóp wiodących do środka i czterdzieści cztery prowadzące na zewnątrz. Sprawca wchodził pewnie, lecz ostrożnie, natomiast odchodząc, stawiał dłuższe kroki. Spieszył się. No-

sił buty numer jedenaście. Na ostatnim filarze przy północno-wschodnim narożniku znów znaleźli włókna. Zapewne impregnowanej bawełny, z jasnego prochowca, na wysokości łopatek, jakby facet przywarł plecami do szorstkiego betonu, a później przesunął się, żeby spojrzeć na plac. Znaleźli zdeptany pył na podłodze między filarem a balustradą. Oraz kolejne niebieskie i impregnowane włókna, a także odrobiny kauczuku, wyblakłego i starego.

– Czołgał się – powiedział kierownik ekipy. – Najpierw na kolanach i łokciach, a potem na kolanach, czubkach nóg i łokciach. Jeśli znajdziemy kiedyś jego buty, będą miały podrapane czubki.

Odkryli miejsce, gdzie mężczyzna usiadł, a potem klęknął. Dokładnie naprzeciw tego miejsca zauważyli podrapaną farbę na krawędzi balustrady.

– Tutaj oparł broń – orzekł szef ekipy. – Poruszył nią tam i z powrotem, szukając oparcia.

Ustawił się i spojrział nad tymi zarysowaniami, jakby celował z karabinu. Zobaczył Emersona, przechadzającego się przed fontanną, niecałe trzydzieści pięć metrów dalej.

• • •

Rekruci akademii spędzili w pustym zbiorniku pół godziny i znaleźli mnóstwo przeróżnych śmieci, prawie osiem dolarów w drobniakach oraz sześć pocisków. Pięć z nich zmieniło się w zdeformowane bryłki ołowiu, ale jeden wyglądał jak nowy. Typu BT, z wklęsłym czubkiem, pięknie odłany, niemal na pewno kalibru .308. Emerson zadzwonił do szefa kryminalistyków, pracującego na pierwszym piętrze parkingu.

– Potrzebuję pana tu, na dole.

– A ja potrzebuję pana tutaj – odparł technik.

• • •

Emerson wszedł na pierwsze piętro i zastał wszystkich techników pochylonych nad wąską szczeliną w betonie i oświetlających ją latarkami.

– Szczelina dylatacyjna – powiedział szef ekipy. – I niech

pan spojrzy, co do niej wpadło.

Emerson przecisnął się bliżej, spojrzął i zobaczył błysk mosiądzu.

- Łuska – powiedział.
- Facet zabrał resztę. Jednak ta mu umknęła.
- Odciski palców? – spytał Emerson.
- Miejmy nadzieję – odparł technik. – Mało kto nosi rękawiczki, kiedy ładuje magazynek.
- Jak ją stamtąd wyjmujemy?

Technik wstał i przyświecając sobie latarką, znalazł najbliższą puszkę instalacji elektrycznej na suficie. Niepodłączone przewody zwisały z niej jak liście paproci. Spojrzął na podłogę pod nimi i znalazł płataninę porzuconych kabli. Wybrał półmetrowy kawałek trójżyłowego przewodu. Oczyszczył go i zagiął koniec pod kątem prostym. Przewód był sztywny i ciężki. Prawdopodobnie za gruby dla lamp fluorescencyjnych, które zapewne zostaną zamontowane w budynku parkingu. Może dlatego mieli kłopoty ze sfinansowaniem budowy. Może miasto marnotrawiło fundusze.

Wepchnął przewód do szczeliny i przesunął go wzdłuż niej, aż koniec drutu gładko wszedł do środka łuski. Wtedy wyjął ją bardzo ostrożnie, żeby nie zarysować. Wrzucił łuskę do plastikowego woreczka na dowody.

– Spotkamy się na posterunku – powiedział Emerson. – Za godzinę. Ściągnę prokuratora.

Zaczął odchodzić, idąc równolegle do śladów pozostawionych przez sprawcę. Nagle przystanął przy pustych miejscach do parkowania.

– Opróżnijcie parkometr! – zawołał. – Zdejmijcie odciski ze wszystkich ćwierćdolarówek.

– Po co? – odkrzyknął technik. – Myśli pan, że facet zapłacił?

- Chcę mieć sprawę dopiętą na ostatni guzik.
 - Musiałby być wariatem, żeby płacić na moment przed załatwieniem pięciorga ludzi.
 - Nie zabiłby pięciorga ludzi, gdyby nie był wariatem.
- Technik wzruszył ramionami. Opróżnić parkometr? Jednak

chyba właśnie za takie przeczucia płacą detektywom, wybrał więc numer na swoim telefonie komórkowym i poprosił, żeby łącznik z ratusza przyszedł tu jeszcze raz.

• • •

W tej fazie dochodzenia zawsze włączał się ktoś z biura prokuratora okręgowego, ponieważ odpowiedzialność za przygotowanie aktu oskarżenia spoczywała wyłącznie na prokuraturze. To nie policja przegrywała lub wygrywała w sądzie. Robiła to prokuratura. Dlatego prokuratura chciała sama ocenić wartość dowodów. Nadają się do wytoczenia sprawy czy nie? Są mocne czy słabe? To przypominało audyt firmy. Albo proces przed właściwym procesem. Tym razem ze względu na rangę sprawy Emerson występował przed samym prokuratorem okręgowym. Przed grubą rybą, facetem, który musiał walczyć o to stanowisko. I o powtórny nominację.

Rozpoczęli trzyosobową konferencję w gabinecie Emersona, w której uczestniczyli: Emerson, kierownik zespołu kryminalistyki i prokurator okręgowy. Prokurator nazywał się Rodin, co stanowiło skróconą formę rosyjskiego nazwiska, które było o wiele dłuższe, kiedy jego pradziadkowie przybyli do Ameryki. Był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, szczupłym i wysportowanym, a także bardzo ostrożnym. Jego biuro miało niezwykle wysoki procent wygranych spraw głównie dlatego, że wytaczał je, gdy był całkowicie pewien sukcesu. Jeśli nie miał stuprocentowej pewności, szybko rezygnował i obwiniał o to policję. A przynajmniej tak uważał Emerson.

– Potrzebne mi naprawdę dobre wiadomości – odezwał się Rodin. – Całe miasto się trzęsie.

– Dokładnie wiemy, jak to zrobił – powiedział mu Emerson. – Możemy odtworzyć każdy jego krok.

– Czy wiecie, kim on jest? – zapytał Rodin.

– Jeszcze nie. Na razie pozostaje anonimowy.

– Proszę streścić mi wyniki.

– Mamy czarno-biały film, na którym widać jasnego minivana, wjeżdżającego na parking jednaście minut przed strzelaniną. Spod kurzu i brudu nie widać numerów rej-

stracyjnych, a kamera filmowała pod ostrym kątem. Jednak prawdopodobnie był to dodge caravan, nienowy, z dodatkowo przyciemnionymi szybami. Obecnie przeglądamy starsze kasety, ponieważ jest oczywiste, że już wcześniej wjechał na ten parking i nielegalnie zablokował jedno z miejsc styropianowym słupkiem nadzoru ruchu, skradzionym z jakiejś budowy.

– Możemy dowieść, że go ukradł?

– W porządku, zabrał.

– Może pracuje w zarządzie dróg i komunikacji.

– Może.

– Sądzi pan, że ten słupek pochodzi z przebudowywanej First Street?

– Prace są prowadzone w całym mieście.

– First Street jest najbliżej.

– Nie interesuje mnie, skąd wziął się ten słupek.

Rodin kiwnął głową.

– Zatem zarezerwował sobie miejsce do parkowania?

Teraz Emerson kiwnął głową.

– Tuż obok nowej części parkingu. Dlatego słupek nie budził niczyich podejrzeń. Mamy świadka, który widział go tam co najmniej godzinę wcześniej. Na słupku są odciski palców. Całe mnóstwo. Ślady prawego kciuka i palca wskazującego są identyczne z tymi, które znaleźliśmy na ćwierćdolarówce wyjętej z parkometru.

– Zapłacił za parkowanie?

– Najwidoczniej.

Rodin zastanowił się.

– To na nic – rzekł. – Obrona będzie twierdzić, że mógł ustawić ten słupek bez złych zamiarów. No wie pan, po prostu z egoizmu. A ta moneta mogła tam tkwić od wielu dni.

Emerson uśmiechnął się. Policjanci swoje, a prawnicy swoje.

– To nie wszystko – powiedział. – Zaparkował, a potem przeszedł przez plac budowy. W kilku miejscach pozostawił ślady, włókna z ubrania i butów. Ponadto będzie miał na sobie mikrocząsteczki z miejsca zbrodni, głównie pył cementowy. Zapewne sporo.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).